Ś. P.

HRABIA

MICHAŁ SOBAŃSKI

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

SKREŚLIŁ KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.

H. Sobański

Ś. P.

HRABIA MICHAŁ SOBAŃSKI

DRUKOWANE JAKO RĘKOPIS.

DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“ W KRAKOWIE

Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest Królestwo niebieskie (Mat. 5, 3).

Szczególny paradoks — jeden z tych, których widownią bywa tylko prawdziwe i głębokie chrześcijaństwo...

Człowiek, któremu ogromny majątek otwierał wszystkie niemal możliwości ziemskie i który na darach tej ziemi umiał używać i bystrym rozumem i wysoce rozwiniętym estetycznym zmysłem; człowiek, któremu wszystkie sfery społeczne stały otworem i który w tak hojnej mierze odbierał od ludzi i głęboką sympatję i pełne szacunku, uznanie — ten człowiek potrafił w swem wnętrzu tak wiernie odtworzyć ducha Ewangelji, że kiedy dziś wpatrujemy się w jasny ślad, jaki piękna jego dusza zostawiła na ziemi, mimowoli przychodzą na myśl nie inne tylko te słowa Chrystusowe, od których zaczęło się kazanie na Górze.

Był u b o g i d u c h e m, bo nie był przywiązany do dóbr tego świata ani

wtedy, kiedy je miał, ani wtedy, kiedy w wielkiej mierze je utracił; był ubogi duchem, bo umiał pogodnie a poprostu cieszyć się wszystkiem, co piękne i wszystko zawsze do Boga odnosić; był ubogi duchem, bo nigdy nad nikogo się nie przenosząc, kochał swych bliźnich czystą chrześcijańską miłością, pokorny, delikatny, wyrozumiały a wdzięczny...

Michał Sobański urodził się 15-go lipca 1858 roku w Wasylówce na Podolu, jako pierwszy syn Feliksa i Emilji z hr. Łubieńskich.

Na duchową atmosferę Obodowieckiego dworu, w którym upłynęły dziecinne lata młodego chłopca, składało się kilka czynników.

W ojcu, Panu Feliksie, wcielił się duch poważnej, energicznej, obywatelskiej pracy. Zawołany gospodarz wielkiego i pod jego ręką coraz to bardziej rosnącego majątku, nie powodował on się nigdy w niezmordowanej swej czynności ani dumą, ani płaskim egoizmem, ani chęcią osobistego użycia. Pracował z poczucia obowiązku względem Boga, Ojczyzny i bliźnich. Kiedy pod wieczór już, pełnego wysiłku, życia, zacna Pani Emilja chcąc go odwrócić od nowej a bardzo pracowitej gospodarczej imprezy, mówiła mu żartem: »Czy nie masz jeszcze

dosyć? Czy sądzisz, że powiększywszy jeszcze twój dobrobyt, będziesz mógł zamiast jednego, jadać dwa obiady?« — »Nie, moja droga, — odparł poważnie — ja nie dlatego to nowe dzieło zaczynam, żebym chciał czy potrzebował dwóch na dzień obiadów, ale dlatego tylko, że widzę koło siebie wielu ludzi, którzy ani na jeden obiad nie mają i tym ludziom chcę dać w rękę uczciwie zarobiony kawałek chleba.«

Nie mogło zresztą być inaczej — żyły w Obodówce wspomnienia i dziada, Ludwika, który uwikłany w spisek dekabrystów, przypłacił szlachetne porywy długoletniem wygnaniem na Sybir i przedewszystkiem babki, Pani Róży z Łubieńskich Sobańskiej, która pojechawszy za mężem, zapisała się — »Róża Sybiru« — w całych dziejach naszych zesłańców niewyczerpaną ofiarnością i najsłodszą dobrocią. A ta wysoka moralna atmosfera, pełna patrjotyzmu i miłości dla bliźnich nie płynęła z jakichś przyrodzonych źródeł, lecz była wyłącznym owocem głęboko zaszczepionej, niezłomnej a prostej wiary. Dźwignięty przez Sobańskich, a na kilka lat przed urodzeniem Michała konsekrowany przez Biskupa Łubieńskiego, piękny Obodowiecki kościół, był jakby symbolem tego przywiązania do wiary, które na wszystkich drogach życia towarzyszyć miało zawsze całej rodzinie.

Jak wielu chłopców z obywatelskich domów z poza kordonu, tak młodziutki Michaś, oddany został wcześnie do konwiktu OO. Jezuitów w Tarnopolu, gdzie dobre warunki wychowawcze i względna swoboda polityczna dawnej Galicji, pozwalały przebyć bez szkody duchowej smutne popowstańcze czasy. Zapadłszy na oczy, musiał po kilku latach opuścić konwikt, by w domu kończyć studja szkoły średniej, ale i przez tych lat kilka zapisał się głęboko w sercach tak kolegów, jak wychowawców, uderzającą pobożnością i gorliwością w spełnianiu obowiązków, oraz zupełną odpornością na pewne rodzaje narowów, dla których konwikty szlacheckie bywają nieraz podatnym gruntem. Z drugiej zaś strony we wdzięcznem sercu młodziutkiego chłopca zakwitła szczera, serdeczna przyjaźń dla Zakonu, który nad jego wychowaniem pracował, a przyjaźń tak głęboka, że pozostał jej wiernym literalnie do ostatniego tchnienia. Z konwiktu też wyniósł medal Sodalisa i dozgonną, czułą miłość dla Najśw. Panny.

Po ukończeniu szkoły średniej uczęszczał przez czas jakiś na uniwersytet warszawski, ale po kilku już miesiącach, chcąc ustrzec syna od niebezpiecznego wpływu politycznych knowań, przeniósł go Ojciec na ceniony wówczas w prowincjach zabranych, uniwersytet w Dorpacie. Zapisał się

tu na wydział prawny i uczył się sumiennie, choć ten kierunek studjów nie pociągał go zbytnio. Dla jego poetycznej, do wszystkiego, co podniosłe, wysoce skłonnej duszy, większy miała urok literatura piękna, której główne arcydzieła i polskie i obce przyswoił sobie rozległą, a w wybornej pamięci wiernie przechowywaną, lekturą.

W roku 1882, jako dwudziestoczteroletni młodzieniec osiadłszy przy ojcu w Obodówce, pod jego ręką zaprawiał się do gospodarczej i obywatelskiej pracy. A była to ręka rozumna, lecz twarda, zwłaszcza że pan Feliks, przy całej prawości i szlachetności charakteru, nie miał w swej duszy tych łagodnych, na ton trochę poetyczny nastrojonych uczuć, które cechowały duszę syna. Ale pomimo tej różnicy usposobień, pomimo, że na woli i upodobaniach młodego, a tak wysoce obdarzonego człowieka, nieraz zaciążyła nieugięta wola przywykłego do posłuchu wielkiego gospodarza, w tym stosunku wzajemnym najmniejszy nawet cień nie zaćmił jasnego blasku czwartego przykazania.

Coprawda nie mógł ojciec nie schylać czoła przed cnotą syna, która już wtedy zaczynała dosięgać prawdziwych wyżyn. Zwłaszcza miłość bliźniego dochodziła w duszy jego niemal do heroizmu. Jeżeli

już w Tarnopolu dobrocią i uczynnością zdobył sobie wśród współuczniów przydomek »Pociechy«, jeżeli potem w Warszawie nie wahał się z narażeniem własnem, pomagać i towarzyszyć na kolej wywożonym na Sybir kolegom, to teraz w Obodówce nie znał miary w poświęceniu, zwłaszcza dla ubogich i cierpiących. Podczas epidemji dyfterytu, w braku lekarskiej pomocy, nauczył się praktykowanego wówczas, zdejmowania błon w gardle i mimo przyrodzonego wstrętu, obchodził z tą pomocą chaty wiejskie; zaopiekował się zupełnie ślepym chłopczykiem i z największą biedą odwiózł go osobiście do dalekiego zakładu dla ociemniałych; chcąc zapobiec szerzeniu się zarazy, zamknął się na kilka tygodni z chorym na tyfus i pielęgnował go sam z największą miłością.

Gdy przyszła pora założenia własnego rodzinnego gniazda, jako dziedzic jednej z największych fortun całej Polski, mógł być wystawiony na pokusę światowych poglądów i ocen. On jednak wybrał nie radząc się niczego, tylko Boga i własnego szlachetnego serca i wybrał dobrze. Dnia 7 lutego 1889 roku połączył się prawdziwie Bożym węzłem z pełną uroku Ludwiką hrabianką Wodzicką, córką Henryka i Teresy z książąt Sułkowskich. Jak zapatrywał się na małżeńskie życie tego dowodzi skierowana przed ślubem do narzeczonej, na owe czasy bardzo szczególna prośba, żeby odbyła specjalne rekolekcje pod kierunkiem swego krewnego przez Babkę, ś. p. Ojca Marjana Morawskiego.

Po wspaniałych uroczystościach ślubnych w Krakowie, gdy ciągła zależność gospodarcza od ojca nie pozwalała jeszcze na zupełną swobodę, zaczęło się dla młodej pary, napozór podobne do innych, to szerokie podolskie życie, pełne towarzyskich stosunków, podróży i wszelkich przyjemności, dla bardzo wielkiego majątku dostępnych. Ale pod temi pozorami rodziły się lub dojrzewały w duszy Michałostwa Sobańskich rzeczy wielkie, podnoszące ich domowe pożycie wysoko ponad poziom wielu podobnych istnień.

Przedewszystkiem od pierwszej chwili zawiązała się między nimi miłość małżeńska i rodzinna tak piękna, tak czysta, tak ciepła, że nie często spotyka się podobną. Prosta a tak miła i szlachetna muza pana Michała nie zdobywała się nigdy na cieplejsze tony, jak kiedy opiewał ciche szczęście rodzinnego życia we własnym domu. Gdy przyszedł na świat pierwszy syn, Feliks, na podziękowanie Bogu za szczęśliwe narodzenie dziecka i zdrowie żony, poszedł piechotą z Warszawy do Częstochowy.

Ale to głębokie wrośnięcie w życie rodzinne ani trochę nie zacieśniało ni umysłu ni serca. Intelektualnie — obcowało się w Obodówce z całym światem myśli przez liczne pisma i książki, przez piękne rzeczy, przywożone z najmilszych, zawsze rozumnie kierowanych podróży; ze strony moralnej potęgowała się atmosfera nietylko już głębokiej pobożności i miłości bliźniego, ale jakieś dziwnej potrzeby ofiary. Dużo później zwierzał się p. Michał zaufanemu przyjacielowi, że nigdy nie mógł tego znieść, aby mu było gdziekolwiek za dobrze. Gdy w jakiejś chwili czuł naokoło siebie wzbierające szczęście i dobrobyt, jakby party jakimś instynktem nadprzyrodzonym, musiał czegoś sobie odmówić, coś zmienić, skądś wyjechać, żeby przypomnieć sobie, że jeszcze tu przebywa, gdzie jeden tylko krzyż jest pewnym drogowskazem na drogach żywota.

Z tem wszystkiem jednak ciągła zależność majątkowa od ojca nie pozwalała na tyle dobrych uczynków, ile ich pragnęło gorące serce. Dopiero kiedy w roku 1905 p. Feliks oddał mu w samodzielne władanie całe prawie dobra podolskie i kiedy w cztery lata później, po zgonie ukochanego brata, Kaźmierza, imieniem małoletniego syna, Antoniego objął w zarząd klucz Guzowski, zaczęła płynąć ofiarność

na publiczne cele nietylko pełnem, ale literalnie wezbranem korytem. Daremnie usiłował ojciec hamować nieco tę bezprzykładną hojność: rzec można że stale trzecia część ogromnych dochodów a nieraz i więcej, oddawana była na potrzeby bliźnich.

Wymienić wszystkich, albo nawet ważniejszych tylko dobrych uczynków p. Michała — niepodobna, bo wiele z nich znanych było tylko temu *Ojcu, który widzi w skrytości* i który za to najhojniej płaci, co ludzkim oczom pozostało ukryte. Jeśli wspominamy tu kilka kierunków dobroczynności wielkiego Jałmużnika, to tylko tytułem przykładu, na chwałę Tego, od którego schodzi *wszelki dar doskonały*.

By upamiętnić objęcie przez siebie zarządu majątków, zakupuje kilkowłókowy folwark Chylice pod Warszawą i przeznacza go na stację doświadczalną dla szkoły rolniczej, z tem tylko zastrzeżeniem, żeby w przyszłej głównej auli Zakładu wisiał krzyż Zbawiciela.

W Kijowie buduje ochronę dla kilkuset polskich dzieci i oddaje ją w zarząd SS. Franciszkankom, Misjonarkom Marji.

Zakupuje chylący się do upadku, prowadzony w Warszawie przez Ks. Skimborowicza »Dziennik Powszechny«; obsadza redakcję odpowiednimi ludźmi o szczerze

katolickich przekonaniach i subwencjonuje przez lat kilka.

Na Woli w Warszawie buduje ochronkę dla 600 dzieci i powierza jej kierunek SS. Felicjankom.

Założony przez swego ojca Zakład dla chłopców w Warszawie przy ul. Śniadeckich, przebudowuje i rozszerza na miejsc 300, zamieniając go na gimnazjum katolickie, zwane »Przyszłość«, i oddaje je najpierw w zarząd, potem na własność Br. Br. Dolorystom.

Podobnież utrzymuje ufundowane przez swego ojca Schronienie dla nieuleczalnych przy ul. Nowowiejskiej w Warszawie, dostarczając przez długi czas opieki i pożywienia dla 150 ubogich chorych, którym niemal do końca życia, nawet wtedy, gdy strata majątku wysuszyła źródła jego ofiarności, okazywał ojcowskie serce, pełne najczulszego współczucia.

Dwanaście stypendjów ufundował w katolickiem seminarjum nauczycielskiem w Ursynowie; dziesięć w katolickiem gimnazjum pod wezwaniem św. Stanisława Kostki; utrzymywał swoim kosztem kilkudziesięciu alumnów po różnych seminarjach duchownych, a wspierał prywatnie kandydatów do stanu duchownego bez liczby. Ile zaś wspomógł ubogich rodzin, ilu młodych wyprowadził na ludzi, ile razy okazał

opiekę biednym literatom i artystom, ile odnowił lub w wielkiej mierze wystawił kaplic i kościołów, do ilu wreszcie najróżniejszych dobrych dzieł przyłożył rękę — to Bogu jednemu wiadomo i to w same tylko Boże księgi bywało wciągnięte.

A obok i pośród całej tej pracy dla drugich ciągnęło się to, osobliwe, a tak urocze życie naszych kresów, z jednej strony pełne miłej i świetnej werwy towarzyskiej, z drugiej pełne tej poważnej świadomości, że stoi się i pracuje na ważnej placówce dla Kościoła i Ojczyzny. W Obodówce była ta świadomość żywsza jeszcze niż gdzieindziej. Cały ten ogromny warsztat pracy gospodarczej nosił wybitny charakter służby Bogu i Polsce.

Nie brak też było, jak sympatji ludzkiej, tak wyraźnego błogosławieństwa z nieba. Początek zwłaszcza 1914 roku zapisał się w pamięci dwoma rodzinnemi uroczystościami, srebrnem weselem rodziców i małżeństwem starszego syna z pełną uroku i dobroci Zofją Kwilecką.

Ale też były to na długo ostatnie promienie jasnego słońca. Nikt nie przeczuwał, nikt nawet zdaleka się nie domyślał, że nad tym rodzinnym domem, jak nad całą Ukrainą, jak nad przeważną częścią krajów Europy, zbiera się straszliwa burza.

Początek wojny dał sposobność do nowych wysiłków miłości bliźniego.

Po odezwie W. Księcia Mikołaja Mikołajewicza, obiecującej autonomję Polakom, złożył p. Michał 100 000 rubli na cele Czerwonego Krzyża; pałac Guzowski przeznaczył na szpital dla rannych, a pałac w Warszawie dla bezdomnych, wypartych przez wojnę z pod strzech domowych; drugi szpital dla 70 rannych zorganizował w Obodówce i wyposażył go we wszystkie potrzeby. Doraźnych zaś pomocy dla tych lub innych ofiar wojny, zwłaszcza dla Polaków ewakuowanych z Królestwa Polskiego i Galicji, było bez liczby.

Jak długo wierzono niezachwianie w zwycięstwo Rosji i dopóki wojna toczyła się daleko od granic Podola, życie polskiego społeczeństwa na kresach płynęło mniejwięcej zwykłym trybem, z tą tylko różnicą, że w miastach podolskich, głównie w Kijowie, nie było nigdy tyle, co wtedy, polskiego żywiołu. Względną swobodę religijną i narodową wyzyskiwano na misje wśród ludu, na rekolekcje dla inteligencji miejskiej, obywatelstwa i kapłanów.

Powoli jednak, w miarę jak coraz bliższy widnokrąg okrywał się czarnemi chmurami, zbierały się w sercach smutne przeczucia. Jeszcze po upadku caratu, po krótkiej a pełnej tragicznych wrażeń, bytności

w Petersburgu, długie miesiące upłynęły państwu Sobańskim w rodzinnej Obodówce. Ale kiedy na Wołyniu i Podolu zaczęły coraz częściej wybuchać rewolucyjne ruchy zbuntowanego żołnierstwa i bałamuconych przez ciemne żywioły bolszewickie, chłopów, jesienią roku 1917 przeniosła się cała rodzina do pięknego pałacyku w Kijowie na Wielkiej Żytomierskiej ulicy.

Zrazu trwały tam nadal i towarzyskie życie wśród licznych polskich domów, i uczynki miłosierdzia i rekolekcyjne zebrania w kaplicy na Kreszczatyku, u Pani Karoliny Jaroszyńskiej — ale czuło się, że jest to życie pod nadciągającą burzą. Coraz częściej, coraz natarczywiej przychodziły groźne, ponure wieści, prawdziwie hiobowe poselstwa, o zagładzie tych lub owych domów, o niszczeniu wspaniałych warsztatów pracy, o niebezpieczeństwach lub zgonach bliskich osób.

Gdy takie wieści nadchodziły z Obodówki — piszący te słowa był po części świadkiem tych tragicznych momentów — nigdy p. Michałowi nie wyrwała się z ust najmniejsza skarga; nie poddał się nigdy względem nikogo uczuciom żalu; zawsze na pierwszym planie był wzgląd na Boga i Jego służbę, na zbawienie duszy i własnej i swoich najbliższych. Kiedy wzmagająca się choroba nie pozwalała mu domu opusz-

czać a znajomy kapłan wystarał się o pozwolenie odprawienia mu mszy świętej w domu, na tę wiadomość upadł mu do nóg z wylewem najczystszej, najpokorniejszej wdzięczności. Ta sama wdzięczność za cudowne uratowanie syna Feliksa na rumuńskim froncie podyktowała mu hojny zapis. Całą wspaniałą realność na Żytomierskiej oddał wtedy na przyszły, jak miano nadzieję, dom Towarzystwa Jezusowego w Kijowie.

Potem jednak przyszły straszne chwile. W ciągu ośmnastego roku Kijów pustoszał coraz bardziej; przez nieszczęśliwe kresy przetaczały się fale armij czy oddziałów: tymczasowego rządu, Petlury, Denikina, krasnoarmiejców, zbuntowanych żołnierzy i chłopów. Rodzinie na Żytomierskiej ulicy, powiększonej już o kilkoro drobniutkich dzieci państwa Feliksów, groziło nieraz bezpośrednie niebezpieczeństwo, wobec którego gotowano się na śmierć pobożną modlitwą.

Nareszcie przyszli wybawiciele... Niemcy.

Zrazu była nadzieja, że da się uratować nietylko życie ale jakąś część mienia i tych ślicznych rzeczy, których pełne były jeszcze i Obodówka i dom kijowski, lecz ta nadzieja — może przez nieudolność ludzką — pokazała się zawodna. Z tego Podola,

gdzie spędzili trzydzieści zgórą lat życia w największym dostatku i spokoju, w dobrych uczynkach, w przyjaźni i wdzięczności ludzkiej, wyjeżdżali państwo Michałowie prawie tylko z tem co mieli ze sobą, z gromadką dzieci i wnuków. Nie zdawali sobie sprawy w tej smutnej podróży, że za nimi przewraca się bezpowrotnie cała wielka karta ich własnych dziejów i pięknej historji polskich kresów...

Po powrocie do wskrzeszonej Ojczyzny, choć był jeszcze rozległy, coprawda zniszczony wojną, Guzów i piękny pałacyk w Warszawie na Ujazdowskiej ulicy — warunki życia musiały ulec bardzo znacznej zmianie. Na chwilę rozpogodziło to nowe istnienie małżeństwo córki Teresy z księciem Adamem Sapiehą, ale poza tą chwilą zaczęły pojawiać się coraz częściej nieznane przedtem troski o sposób urządzenia życia i jego materjalne podstawy.

Po pewnych wahaniach i namysłach i po odparciu od Wisły bolszewickiej nawały, ustaliło się wreszcie życie pomiędzy Guzowem, z jego ślicznym, wmurowanym w pałac, kościółkiem, a warszawskiem mieszkaniem na Ujazdowskiej ulicy.

Wśród trosk, które dzielił już p. Michał z dwoma dorosłymi synami, na pierwsze miejsce wybijało się staranie, by mimo

wszelkich trudności, nie brakło niczego, nietylko wiekowej matce, żyjącej jeszcze przez lat kilka w Paryżu i innym bliskim krewnym, względem których miano specjalne obowiązki, ale i licznym oficjalistom zbiegłym z Obodówki i służbie, o której dobrobyt był zawsze niezmiernie dbały. Już pod koniec życia, gdy dowiedział się, że jednego ze służących nie można było na czas wypłacić, ślicznym porywem szlachetnego serca wyjął z krawatu kosztowną szpilkę i zdjął z palców pierścionki, aby tę świętą należność wyrównać. Toteż przez służbę kochany był tak, że jeszcze za podolskich czasów trafiały się wypadki nawrócenia z prawosławia tylko dlatego, że najlepszy pan trzymał się rzymskiej, katolickiej wiary.

Mimo wszystkich kłopotów i trudności ułożyło się wreszcie to życie guzowsko-warszawskie dość pogodnie. Tak Guzów jak Bobrek Sapiehów wypełniła liczna gromadka najmilszych wnuków; koło rodziny zacieśniło się znowu grono serdecznych przyjaciół. Bo chociaż w Warszawie nie zawsze już mieszkało się w pięknym pałacyku na Ujazdowskiej, ale dużo częściej w malutkiej, skromnej portjerce, koło państwa Michałów zawsze chętnie zbierali się ludzie, pociągnięci i ciepłem sercem i tym urokiem pogodnego umysłu, który nigdy

nie poddawał się przygnębieniu, ale i wśród smutku umiał patrzeć na jasne strony każdej chwili. Jeszcze w powojennych czasach niejeden piękny wiersz z serca p. Michała spłynął na papier; sam subtelnie dowcipny, cieszył się do końca każdem dowcipnem słowem i każdym udanym żartem, byle dla nikogo nie bolesnym.

Ale towarzyskie stosunki były tylko jedną i dużo mniej ważną stroną zainteresowań tego gorącego serca. Między nim a wielu duszami, dla których był przewodnikiem do Boga, zawiązywały się bezporównania głębsze, religijne węzły. Tak jeszcze w r. 1920 dopomógł do nawrócenia głośnego niegdyś literata, powstańca z r. 1863 i Sybiraka, p. Dionizego Henkla; tak później jeszcze, czyto ciepłem słowem, czy wymowniejszym jeszcze przykładem wskazał niejednej duszy drogę do wiekuistej Prawdy.

Przedewszystkiem jednak zajmowała go do głębi jedna wielka rzecz, do której tęsknił, dla której pracował niegdyś tak wytrwale na swej kresowej placówce, t. j. los zmartwychwstałej Polski. Trudno powiedzieć, jak cieszył się każdym pomyślnym w jej zbiorowem życiu objawem, z jaką miłością i wyrozumiałością patrzał na pierwsze trudne kroki odrodzonej Ojczyzny, jak bolał nad każdem nieszczęściem i błędem, jak starał się wedle możności

dopomóc by to odnowione życie polskie popłynęło w sposób zdrowy i silny.

I w rzeczy samej, w miarę sił, dopomagał do tego całem sercem. Choć zaczynał już odczuwać ciężar wieku i rozmaitych niedomagań, gdzie tylko robiło się coś dobrego, tam on nie żałował, jak niegdyś grosza, tak dziś swojej własnej osoby. Obdarzony wybitnym darem pięknego słowa, przy najróżniejszych sposobnościach przemawiał tak w Warszawie, jak w wielu miastach całej Polski, a zawsze tak podniośle, tak szlachetnie, tak ciepło a rozumnie, że zebranym w jedno wydanie tym ślicznym odczytom i referatom czy przemówieniom nadano słusznie wymowny tytuł: »Odrodzenie narodu przez wiarę i miłość«.

Nic więc dziwnego, że jeszcze w roku 1921 mianowany został prezesem pierwszego Zjazdu katolickiego w Warszawie, a w kilka lat później prezesem Akcji Katolickiej na archidiecezję warszawską.

Ale właśnie wtedy, gdy spadła na niego ta druga godność, Pan Bóg zaczął coraz wyraźniej wzywać go do innej trudnej pracy... do dźwigania swego krzyża.

Zrazu rosnąca głuchota zaczęła mu utrudniać stosunki z ludźmi, potem rozwinęła się, obok astmy, choroba cukrowa, która przez dłuższy czas zmusiła go do pobytu w sanatorjum, lub do bardzo starannej pielęgnacji domowej. Obok tego wzrosły znów w porze kryzysu materjalne troski, a wreszcie zasmuciła głęboko, najpierw operacja, potem śmierć najmilszej synowej, która odeszła w kwiecie wieku, zostawiając po sobie dziewięcioro młodziutkich sierót.

I byłby to był smutny widok tego wiekowego już człowieka, z bolesnemi ranami na karku i rękach, wychudłego do niepoznania, prawie niezdolnego do ruchu — gdyby nie to, że w duszy zamieszkującej to biedne ciało działy się całkiem widocznie wielkie rzeczy. Odosobniony od ludzi przytępionym słuchem, literalnie coraz bardziej pogrążał się w Bogu i od Boga uczył się tych cudownych rozumień, których On sam tylko udzielać potrafi.

Zawsze oderwany od świata, odłączał się teraz coraz bardziej od wszystkiego, co ziemskie. »Byleby dzieciom moim Bóg nie odmówił chleba« tak mawiał nieraz do piszącego te słowa »nie wiedziałbym jak dziękować P. Jezusowi, że mi wszystko odebrał, bo czuję się dziś o tyle bliższym Jego«. Ale nie dość było mu na tem, że Bóg odebrał. Pod sam koniec życia, jakby tknięty mistycznem już natchnieniem, postanowił do ostatka zubożyć sam siebie. Bez tego niewielkie już potrzeby ograniczył do tego co najściślej konieczne, albo czego żądała od

niego troskliwa miłość najbliższych; odmówił sobie nawet tego, co przez całe życie tak lubił i umiał, obdarowywania dzieci, wnuków i służby różnemi prezentami, które niegdyś na długo przedtem obmyślał i z największą starannością wyszukiwał. Zaprzestał też w wielkiej mierze tych ślicznych, długich listów do przyjaciół, dawniej pisanych ręką, później dyktowanych wiernej sekretarce, listów, w których niewiadomo było co bardziej podziwiać, czy świeże zawsze i podniosłe myśli, czy najcieplejsze, tak wierne w przyjaźni, serce.

Ale i tego było mu zamało. W przeczuciu niedalekiej już śmierci, w formie listu do żony i dzieci wyraził jasną i stanowczą wolę, żeby mieć pogrzeb nietylko ubogi, lecz najuboższy. Prostym wozem jednokonnym miała być odwieziona na cmentarz biała, najtańsza trumna i miała być złożona nie w żadnym grobowcu, ale wprost w ziemi. Wymówił sobie bezwarunkowo wszelkie parady czy mowy pogrzebowe i wieńce czy liczne orszaki gości żałobnych; nad grobem miał stanąć, bez żadnego napisu, prosty, biały krzyż.

Przeczucia go nie zawiodły, bo istotnie miało się już ku wieczorowi i dzień się był nachylił. Przed ostatnią fazą śmiertelnej swej choroby przysłał jednemu z przyjaciół

ten śliczny przekład znanego wierszyka Göthego:

Na szczytach spokój i cień
Las usnął, spowity w mgły;
Przechodniu... kończy się dzień,
Niebawem spoczniesz i Ty!

Dobiegał do końca piękny dzień głęboko chrześcijańskiego życia i dużo już zewsząd gromadziło się cieni, ale na szczytach jego duszy nie było ani odrobiny mroku, tylko coraz to rosnąca jasność tej wiary, co niedługo przejść miała w widzenie.

Pod koniec lata, trzydziestego czwartego roku ogólna słabość zaczęła się wzmagać. Cierpliwy, poddany, wdzięczny za każdą, najmniejszą usługę, godził się na wszystkie zabiegi, jakich żądały kochające serca, ale czuć było, że sam nie bardzo wierzy w skuteczność najlepszych zresztą środków, przepisywanych przez przyjaciela, lekarza.

W pierwszych dniach listopada zdawało się, że już koniec nadchodzi. Po bardzo ciężkiej nocy z 5-go na 6-go, t. j. z poniedziałku na wtorek, przyjął z największą pobożnością Sakramenta święte, które przyniosły mu, jak sam mówił, całe zdroje przedziwnych łask, a potem, najlepszy, prawdziwie chrześcijański ojciec, pomimo

wielkiego osłabienia, zdobył się w rozmowie z dziećmi na ostatnie polecenia i prośby, których treścią był tylko Bóg i służba Boża. Był to śliczny epilog do tej wieloletniej wychowawczej pracy, którą cenił sobie nad wszystko inne i w którą wkładał obok najczulszej miłości dla dzieci, tę powagę i to męstwo chrześcijańskie, jakie dać może tylko wielka miłość Boga.

Choć czuł się już bardzo słabym, miał wrażenie, że jeszcze przynajmniej dni kilka pożyć mu wypadnie. »Za pięknie byłoby tak umierać — mówił do żony — bo nie domyślasz się nawet, jakiemi pociechami Bóg zalewa mi serce«.

Istotnie po tych chwilach Bożej słodyczy, podczas których wspominał z wdzięcznością o wszystkich bliskich i o całej służbie domowej, zaczęły się godziny cierpienia i walki.

Po dość spokojnej, ale prawie bezsennej i dusznościami przerywanej nocy, przyjął jeszcze we środę rano Pana Jezusa, a potem mówił już niewiele, ale czuć było, że wiele cierpi. Gdy naokoło niego cichym szeptem wznosiły się do Boga modlitwy, o które często prosił, własna jego dusza zanurzała się powoli w te tajemnicze głębie, które pod ruchomą falą zewnętrznego życia, kryją w sobie przedziwny dramat

życia człowieka i spełniających się na nim planów Dobroci Bożej.

Następna noc była jeszcze cięższa niż poprzednia, ale jeszcze we czwartek rano, po raz ostatni na ziemi, przyszedł do wiernego sługi ten słodki Pan, ukryty pod postacią chleba, który ma w Sobie *Zmartwychwstanie i Żywot.*

Dzień czwartkowy był bardzo męczący, przerywany chwilami nieprzytomności wśród których nie brakło jednak dobrych słów i łagodnych uśmiechów. Podczas jednej z takich chwil spokojniejszych poprosił o okulary i przyjrzał się po raz ostatni uważnie a pogodnie tym wszystkim drogim, których zostawiał na ziemi, jakby chciał na zawsze utrwalić sobie w pamięci ich rysy.

W ciężkiej reszcie dnia i bardzo męczącej nocy przytomność opuszczała go coraz bardziej, ale ile razy się ocknął, tyle razy starał się brać udział w modlitwach żony i dzieci, które nieomal bez ustanku wznosiły się wokoło niego do Boga.

I tak wreszcie przyszedł koniec wśród głębokiego skupienia i tego uroczystego nastroju, jaki zawsze towarzyszy *drogiej przed obliczności Pańską śmierci świętych Jego.* W piątek 9 listopada zamknął Michał Sobański dobre swoje oczy na ziemi, by je

otworzyć w niebie na to nieskończone Piękno, do którego całe życie tak tęsknił i którego ślady tak umiał odnajdywać we wszystkiem, co piękne na tym świecie. W chwili zgonu rysy Zmarłego przybrały wyraz takiego zachwytu, że nie można było na nie patrzeć bez głębokiego a świętego wzruszenia.

W dwa dni później posuwał się malutki, z najbliższych tylko złożony, orszak żałobny ku cmentarzowi w Wiskitkach, wśród wielkich drzew, z których spadały na trumnę złote, jesienne liście. Wedle woli Zmarłego wyprzedzono pogrzebem te setki osób, które byłyby chciały oddać Mu ostatnią posługę; odproszono gotujących się do przyjazdu Księdza Kardynała Arcybiskupa z całem mnóstwem duchownych i świeckich.

Ubogą trumnę złożono nie w kaplicy cmentarnej i nie w rodzinnym grobowcu, ale w rozkopanej ziemi, a nad nią postawiono, bez żadnego napisu, prosty, biały krzyż.

Był to wymowny symbol, że jedyną treścią tego ślicznego życia była wiara i służba Boża w Jezusie Chrystusie Panu Naszym.

* * *

Napłynęły zewsząd do pozostałej rodziny wyrazy współczucia i uznania, czasem wprost uwielbienia dla cnót Tego, co od nich odszedł na chwilę. Sam Ojciec święty, który Go był znał w Warszawie, dowiedziawszy się o jego śmierci, kilkakrotnie powtórzył z przejęciem: O jak wielki to był chrześcijanin!

Lecz ponad wszystkie ludzkie pociechy, dla nas, którzyśmy Go tak kochali i których On kochał tak serdecznie, najsłodszą pociechą jest niemylne słowo Boże: *Kto idzie za Mną, nie chodzi w ciemności, ale ma światłość żywota.*

A to wiemy, że On szedł za Zbawicielem, ubogi w duchu, pokorny, kochający a wierny — wiemy, bo patrzeliśmy na to oczyma swojemi. I dlatego dziękujemy Bogu za to życie i tę śmierć i za wszystko dobre, i Jemu i nam przez Niego wyświadczone, prosząc tylko pokornie, by pozwolił tam się z Nim połączyć, gdzie *pierwsze rzeczy już przeminęły*, gdzie zostaje na wieki sama tylko Prawda i Dobro i Piękno.